Nr. 13. We Lwowie dnia 26. marca 1894. Rok II.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

## Tadeusz Kościuszko

I.

Przeszłość zgnębiona... Kontusz i pas lity
i zarzuconą na plecy purpurę
zdarto z olbrzyma, który legł, pobity,
obnażający w krwi skąpaną skórę.

*

Koronę królów i hetmańskie kity,
miecz i buławę wzięły mu ponure
zastępy piekieł... I shańbion, bez świty
mężnych, powieki nie śmiał podnieść w górę.

*

A zresztą — po cóż?... Niebios widnokręgi,
odziane kirem, bez gwiazd i bez zorzy
złotego rąbka... Milczenie... Potęgi

*

śpią tajemnicze.. Ach! ten szum?!... Z koleji
wypadły-ż światy?.., Szatański czy boży
głos-to zahuczał: »Już nie ma nadzieji!«...

II.

Prąd elektryczny martwą przebiegł ziemię —
i naraz jęły kiełkować z jej wnętrza
źdźbła zrumienione: jakieś ziarno drzemie
w zdeptanej roli... Coraz to gorętsza

*

wieje promienność... Wstań, umarłych plemię!
kłos już szeleści, już się w drzewo spiętrza
ewangeliczne, cudotwórcze siemię —
pora żniw idzie, jaśniejsza i świętsza!

*

Wstań bez korony, bez wodzów buławy!
wstań bez purpury — bo na cóż ten lichy
szmat dziś dla ciebie, postrzępion, plugawy

*

bezwstydną zdradą!... A ty, nędzny służko
nędznej tyranji, giń! Nad tobą cichy
a wielki człowiek spełnił sąd — Kościuszko!

III.

Przysiągł... O burze, wy, co niewidomy
lęg macie w bezdniach piekielnych, szatany
niech was rozpuszczą, abyście, jak gromy,
potok słów jego zgłuszyły wezbrany!

*

Nowe on żłobi dla siebie wyłomy
śród zimnych opok, rozsadza kajdany
głazów, to pnie się, jak szczyt góry stromy,
to się rozlewa, jak szerokie łany.

*

Darmo się rwiecie, o burze! on dotrze
do waszych głębin i gniazda wam zniszczy...
Nad rozkosz raju teraz w hymny słodsze

*

rozgrał się strumień: to płynie w niebiosy
pean wolności — z brzękiem tej, co błyszczy
w promieniach słońca, racławickiej kosy...

*Jan Kasprowicz.*

# Nasze barwy narodowe i herb.

II.

Niestosowniejszą jeszcze jest zmiana historycznego herbu Rzeczypospolitej Polskiej, tem bardziej że nikt z tych, którzy ją wprowadzają, nie rozumie nawet dla czego to robi, i jaką szkodę może nam wyrządzić niewinnem na pozór malowidłem. Wiemy wszyscy, że herbem zjednoczonych narodów polskiego i litewskiego jest orzeł biały na polu czerwonem, a z prawej strony srebrna Pogoń, na takiem samem tle karmazynowem.

Przekonać się łatwo ze wszystkich herbarzy, zabytków i pomników naszych, nie tylko w kraju, nawet na wiedeńskich, drezdeńskich i innych pałacach, — odszukać można nasz herb aż w Paryżu, na zegarze, wybudowanym przy pałacu Sprawiedliwości przez niecnej pamięci Henryka Walezjusza. Zkąd się więc wzięło owo trzecie pole z Archaniołem, kto je wprowadził i kiedy go używać zaczęto? Przekonać się łatwo, że ta odmiana należy także do bardzo niedawnej przeszłości. Ani przed rozbiorem, ani podczas wojen Napoleońskich, ani nawet w 1830 roku, niczego podobnego nigdzie nie spotykamy. Warto się więc nad tą kwestją szczegółowo zastanowić.

O ile nam wiadomo, archanioł pojawia się dopiero na Emigracji, przy utworzeniu komitetu Litwy i Rusi, i miał wyobrażać t r z e c i ą narodowość Polskiej Rzeczypospolitej, narodowość ruską, a właściwie małoruską. Żadnej więc historycznej podstawy ta odmiana nie miała i nie ma, bo połączyła się z Polską w Horodle i Lublinie, nie Ruś, a Rusko-Litewskie Wielkie-Księstwo, jako ciało osobne i jednolite. Mała Ruś nie miała nigdy, ani politycznej odrębności, ani tem bardziej osobnego herbu — nasza więc ukraińska szlachta, która wymyśliła po 1830 roku ową polsko-ruską narodowość, użyła po prostu herbu Województwa Kijowskiego, składającego się, podług Niesieckiego, z »srebrnego Archanioła w czerwonem polu, trzymającego miecz, w jednej ręce, a pochwę w drugiej«. Wybrano prawdopodobnie to województwo, dla tego, że Kijów był stolicą Rusi przedmongolskiej, a o historyczną ani etnograficzną prawdę nikt się wówczas nie pytał. Tak wyśmienicie pasowało te trójjedyne królestwo i z katolicką wiarą Zaleskich, Jełowickich, Czajkowskich i z modną wówczas teorją Hegla, że taki wynalazek zdawał się opatrznościowym, i słowik stepowy nie omieszkał opowiedzieć światu, jak się będzie opiekował całą Rzecząpospolitą

...Michał Archanioł, ziemi naszej stróż!

Szkoła polsko-ukraińska przebrzmiała — ostatni jej bohater »Michałko Hałczyniecki« inaczej nazwany »Sadykiem Baszą«, skończył na »Moskiewskich Wiedomostiach«, i niktby o Archaniole nie pamiętał, gdyby go nie był odnowił w 1863 roku »Wódz naczelny«, Wielkopolanin Ludwik Mierosławski. Dla konkurencji z Komitetem Centralnym Gillera p. Ludwik, a właściwie jego sekretarz i faktotum, Kurzyna, uznał za stosowne utworzenie kontrkomitetu, i na jego pieczątce, należącej i wówczas, a tem bardziej teraz, do wielkich rzadkości, pojawił się dopiero potrójny herb Czajkowskich i Jełowickich. Zaszczytną była myśl równouprawnienia narodowości ruskiej, myśl bratniego sojuszu Polski, Litwy i Rusi — ale ci, którzy używali tego potrójnego godła, nie mieli najmniejszej ochoty urzeczywistnienia tej myśli, nie próbowali ani razu zbadać niezbędnych do tego warunków. Takim sposobem, skutkiem bezmyślnego naśladownictwa, staliśmy się spadkobiercami godła nowego wyrobu, nie mającego żadnej racji bytu ani w dziejach naszych, ani w naszem politycznem położeniu, a narażającego nas na ciągłe oszczerstwa i niebezpieczeństwa, grożącego nawet nie jedną nową klęską.

Boć przecie sprawa ruska była pierwszym i najgłówniejszym szkopułem dla pomyślności Polskiej Rzeczypospolitej, dla »zjednoczonych obojga narodów« jak się wówczas wyrażano, to jest Polski i Litwy, czyli Rusko-litewskiego Księstwa. Nie potrzebujemy powtarzać smutnych dziejów »rebelji« kozackiej, gwałtownego starcia dwóch krańcowych nietolerancji, rzymsko-katolickiej i bizantyjsko-prawosławnej. Ruś złamała naszą potęgę ze szkodą własną — i dopiero teraz zaczyna się podnosić z pomiędzy ruin, przez nią samą nagromadzonych, zaczyna myśleć o pozbyciu się opieki tego wschodniego caratu, dla którego dotychczas tępiła bratnią narodowość. Nic nie może być zatem niezręczniejszego nad używanie właśnie teraz jakiegoś nowego godła, oznaczającego, że uważamy się ciągle, nieproszeni i nieupoważnieni, za spadkobierców kijowskich książąt, za legalnych opiekunów Rusi naddnieprzańskiej. Jeźli nawet ów nieszczęśliwy Św. Michał ma oznaczać jedynie, że nie wyrzekamy się Czerwonej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy kijowskiej, dla czego drażnić Rusinów tem rozćwiartowaniem ich wspólnej etnograficznej ojczyzny, która sięga przecie po Don i Kubań? Czyż chcemy koniecznie pokazać całemu światu, że pomimo tylu klęsk i zawodów, niczegośmy się nie nauczyli, że nigdy Polak nie potrafi być mądrym, nawet po szkodzie?

I Polacy i Rusini, ci przynajmniej, których nie oślepia religijna lub stronnicza zawziętość, rozumieją doskonale, że tylko wspólnemi siłami, »viribus unitis«, i w zupełnie równem zjednoczeniu, mogą się pozbyć wspólnego wroga, ciemięzcy nietylko Polski, Litwy i Rusi, ale własnej nieszczęśliwej Rosji. Ale taki sojusz może powstać tylko na zasadzie wspólnej ugody, wzajemnych ustępstw, wzajemnego przebaczenia. Nie myślimy wcale się przyznawać, jak niektórzy polscy ultra-radykaliści, do wyłącznej winy w tych nieszczęśliwych wiekowych zatargach. Rusinom podoba się rola wiecznie ciemiężonych, i jakby dla urągania rzeczywistości, ich narodowy wieszcz wtedy zaczął nam wytykać nasze bezprawia i okrucieństwa, wołać o pomstę i propagować rasową nienawiść, której wcale śladu niema w »małorosyjskiej« literaturze XVIII. wieku — kiedy Polska leżała skrępowana u nóg cara, kiedy ani prześladować, ani ciemiężyć nie mogła. Wszystkie nareszcie winy zapisane na rachunek Polaków, są prawie wyłącznem dziełem samej ruskiej szlachty, owego możnowładztwa nic nie mającego z nami wspólnego, oprócz wiary katolickiej, które tak się nam dało we znaki, gorzej niż samej Rusi, i tak wspaniale zakończyło swoje »posłannictwo« — w Targowicy. Nie myślimy wcale odpowiadać za grzechy ruskich renegatów, tem bardziej że Polska narodowość nigdy nie chciała, nie mogła nawet wynaradawiać Rusi, że ciągle z naszej strony odzywały się głosy, wzywające do zgody, do równych praw, do autonomicznego braterstwa, a z Ruskiej strony spotykaliśmy jedynie, aż po dziś dzień, najzupełniejszą nietolerancję, bratanie się z Moskalem, z Niemcem nawet — byle nie z Lachem: spotykaliśmy nawet zawzięte wypieranie się własnej przeszłości, własnego języka, własnych obyczajów i kozackich ideałów, byle jakimkolwiek sposobem dopiec nienawistnej »latynizacji«, która się zarazem z zapałem na Rusi przyjmuje — ale w gotyckiej postaci. Narzucać się wcale nie chcemy i najmniejszego do tego powodu nie mamy. Dosyć krwi polskiej popłynęło dla obrony Rusi od Mongołów, od Tatarów, od Moskwy, moc nasza się strawiła na zapasy z całem Wschodem, a ci dla którycheśmy się zmarnowali, woleli i wolą gubić się sami, byle ginąć razem z nami. Tem bardziej powinniśmy się wystrzegać jakichś fantastycznych godeł, wynalezionych przez tę samą ruską szlachtę i obowiązujących polską, »mazurską«, jak mówią Rusini, narodowość, do nieuzasadnionych i nierozsądnych aspiracji. Ruś nas nie chce — to jej nam nie trzeba, a jeźli ma kroczyć razem z nami, powinniśmy od niej zażądać pewnych i stałych gwarancji, nim się przyznamy do solidarności z nią. Z dziejów naszych nikt Orła z Pogonią nie wymaże, nikt nam Litwy nie odbierze, jeźli jej sami nie odepchniemy i do historycznego naszego herbu jedynie przyznać się możemy. Kiedy Ruś nam dowiedzie, że chce wstąpić do związku naszego, wtedy dopiero jej godło, prawdziwe, nie fantastyczne — może zabłysnąć razem z naszem na wspólnej tarczy; inaczej narażamy się tylko na zasłużone pośmiewisko, i na nowy boleśny zawód.

Zanadto może głęboko sięgają te luźne uwagi z powodu nieświadomie używanych kolorowych wstążek, różnobarwnych spinek i romantycznych herbów — ale nie zapominajmy, że takie drobnostki, na pozór nic nie znaczące, wielki wpływ wywierać mogą na losy narodów, bo pod niemi się kryją bardzo szkodliwe nieraz, choć nieświadome błędy. Spodziewamy się jednak, żeśmy się o ile możności przyczynili do wyjaśnienia kwestji i że czytelnik będzie teraz wiedział, iż jedynemi historycznemi i prawdziwemi godłami naszej Ojczyzny, są herb Rzeczypospolitej, Orzeł Polski z Litewską Pogonią i biało-czerwona chorągiew.

*Bronisław Szwarce.*

JAN KASPROWICZ

# ALFRED TENNYSON.

SZKIC LITERACKI.

IV.

Rok 1842 stał się dla powodzenia i sławy Tennysona rozstrzygającym. Pojawił się w tym czasie nowy tomik poezji liryczno-epicznych, zawierający, oprócz utworów, w poprzednich umieszczonych wydaniach, takie poematy, jak: »Śmierć »Artura«, »Dora«, »Godiva«, Klara Vere de Vere«, »Św. Szymon Słupnik«, »córka Młynarza«, a przedewszystkiem »Locksleyhall«, posiadający pewne rewolucyjne zacięcie, tak niezwykłe u Tennysona, szukającego ideałów przeważnie w »Szkole jezíór«. Trudno było jednak nie postąpić kroku dalej — wszakże czasy mają swoje prawa; spiesząc naprzód, nowe dla siebie torują drogi: zarówno społeczne i polityczne, jakoteż estetyczne ideały Southey'ów, Coleridgów i Wordsworthów stanęły już dzisiaj w sprzeczności z dążeniami najbardziej nawet zachowawczych żywiołów Anglji;

duch Byrona i Shelleya wsiąka kroplami w prawowierne żyły wyznawców purytańskiego cantu, a nasamprzód musiał on wsiąknąć w natury wrażliwe, do jakich należał Tennyson.

Jego lordowska mość, trzymający się zawsze arystokratyczno-burżuazyjnego juste-milieu, nie uznający żadnego w Anglji poety ponad Szekspira, którego trudno przecie było bagatelizować, tak samo, jak mimowoli przejmował się duchem »lakistów, wchłaniał w siebie bezwiednie palące atomy tej szkoły szatańskiej. Brutalem był dla niego Byron, człowiekiem, który nieokrzesaną formą, niepowściągnioną namiętnością narażał na szwank poezję angielską; pomimo to, napisał Tennyson zanim się spostrzegł, pod jego właśnie wpływem kilka utworów, należących do rzędu najlepszych, posiadających cechy ducha współczesnego.

Pani Klara Vere de Vere, że pochodziła z krwi normanów, że posiadała starożytnie brzmiące nazwisko, uczyniła sobie igraszkę z serca prostaka. I oto jak się do niej odzywa poeta: »Chełpisz się, pani Klaro Vere de Vere szeregiem przodków, a wiedz, że ja dumniejszy od ciebie; chciałabyś w swe sieci zamotać i moje serce, ale ja dla twoich czarów nie złamałbym serca skromnej dziewczyny: nie troszczę się, z jakiego pochodzę gniazda i dla mnie czysta, zakochana dziewczyna więcej jest warta, aniżeli sto tarcz herbowych... Wierzaj mi, pani Klaro Vere de Vere, że ogrodnik Adam i jego żona spoglądają tam z niebios z uśmiechem na całą tę fanaberję przodków... Szlachcicem ten tylko, kto jest dobry i poczciwy. Serce więcej jest warte, aniżeli korony szlacheckie, a wierność więcej ma wagi, aniżeli krew normandzka«. Pomimo tego naprawdę demokratycznego wybuchu, Tennyson nie wahał się później przyjąć tytułu barona. Przypuszczać też należy, że wypowiadanie podobnych, jak powyższe, zapatrywań było wypływem wrażliwości artystycznej, a nie jakiegoś głębszego przekonania. Mniejsza zresztą o to, stwierdzam tylko fakt, że w Tennysonowskiej poezji znajdują się sporadycznie pierwiastki nowoczesne, rewolucyjne.

W Locksleyhall, najpiękniejszym ze wszystkich poematów, bo posiadającym nietylko zwykłą u Tennysona formę koronkową, ale i polot i siłę, rzuca poeta rękawicę z niezwykłą u niego odwagą przesądom, które serca ludzkie mierzą złotem albo pochodzeniem

Kochało się dwoje ludzi — ona jednak uległa życzeniu rodziców i wyszła za bogatego pana, porzuciwszy człowieka biednego, w którego duszy rozbudza się nienawiść do wszystkiego, co jest pruderją i hipokryzją. Duch tego poematu, owianego mgłą bagnisk, śród których odbywa się akcja, charakteryzują najlepiej słowa następujące:

Wzgardzony kochanek woła: »Przekleńswo niech spadnie na ustawy, które grzeszą przeciwko świeżej sile młodości! Przekleństwo niech spadnie na kłamstwo towarzyskie, ubezwładniające prawdę, że ta, jak tchórz, chroni się przed oczami świata! Przekleństwo formom, śród których natura nasza przybiera chorobliwe, zwyrodniałe kształty! Przekleństwo złotu, zdobiącemu płaską i niską skroń głupca!«

W Godivie przedstawia poeta kobietę poświęcającą się dla ludu: wiersz, niesłychanie spokojny, jest pod względem elegancji form, prostoty i zwięzłości cackiem artystycznem.

Tak jak Klara Vere de Vere i Locksleyhall są rodzajem walki, wytoczonej przesądnemu społeczeństwu, tak »Święty Szymon Słupnik« jest delikatnem bardzo rzuceniem rękawicy w oczy hipokryzji angielskiej. Pod względem formy różni się nadzwyczaj od innych utworów Tennysona, ma bowiem koloryt silnie realistyczny, a miejscami poeta przechodzi nawet w malowaniu akcesorji w ton, jak na niego, trochę drastyczny. Całość posiada jednak skończoną wypukłość i pod tym względem nie ustępuje w niczem takiej np. Godivie, a może ją nawet przewyższa.

»Święty Szymon Słupnik« jest typem pobożnego ascety, który z umartwienia ciała czyni sobie metier, spodziewając się, że tego rodzaju zajęcie opłaci mu się sowicie — w danym wypadku przyniesie mu zyski w postaci korony niebieskiej. Lubuje on się sam w swoich męczarniach; jest, jak przystało na chrześciańskiego pokutnika, pokornym — ale pokora jego ma wszelkie cechy hipokryzji i, doprowadzona do absurdum, staje się swoją antytezą — staje się pychą. Szymon Słupnik chełpi się z swojej pokory, na wzór owego biblijnego Faryzeusza, który, bijąc się w piersi, woła: »Panie! ty wiesz, że nie jestem takim, jak inni, celnicy i saduoeje.

Ta hipokryzja tak mu weszła w krew i kości, że stracił zupełnie jej świadomość.

Nie ulega wątpliwości, choć krytyka angielska nie zwróciła na to uwagi, zapewne przez wzgląd, aby nie narażać na szwank popularności bożyszcza arystokracji i burżuazji angielskiej, burżuazja zaś i arystokracja na tem się nie poznały, — otóż nie ulega wątpliwości, że »Święty Szymon Słupnik« jest niejako symbolem obłudy pobożnych wyznawców Wysokiego Kościoła. W utworze tym, poruszającym te same ideje, jakich jest pełno w poezjach Byrona, ujawnia się może najwyraźniej różnica pomiędzy nim a Tennysonem. Byron, namiętny potomek Normanów, zawiele miał dumy w sobie, ażeby niesympatyczne społeczeństwo traktować w rękawiczkach: nie żałował on ani zapału, ani żółci ani ironji i sarkazmu na stworzenie w takim »Don Juanie« np. zwierciadła, aby w nim pokazać ziomkom swoim ich wierny konterfekt. Byronowi było dosyć obojętnem, czy sobie zaskarbi ich łaski lub nie, wrażliwy artysta Tennyson, nie mogąc, jako syn swojego czasu, zamknąć nowym idejom przystępu do swojego wnętrza, starał się przecież na

każdym kroku przez wzgląd na drażliwe otoczenie, idejom nadawać formy jak najszlachetniejsze, najmniej rażące. Wypływało to również z metody ich twórczości: u Byrona nietylko że przewyższała, ale jedyną odgrywała rolę strona subjektywna, Tennyson zaś był najtypowszym wyobrazicielem wynalezionego przez unikającą silnych wrażeń burżuazję objektywizmu w poezji. Tak samo jak wszędzie, tak i w »Szymonie Słupniku występuje na pierwszem miejscu obok pejzażysty malarz rodzajowy.

Gdy się pojawiły poezje, o których powyżej była mowa, pisał jeden z autorów angielskich: »zwycięztwo zostało odniesione i ukoronowano drugiego króla Alfreda, którego państwo szersze ogarnia granice, a którego berło inną posiada władzę, aniżeli berło owego starego Saksona«.

Słowa te były nieco przesadne — świadczą jednak, do jakiej popularności doszedł Tennyson. Tomik, o którym mowa, przyniósł mu nietylko sławę, ale i pieniądze, w kilku zaledwie tygodniach rozeszło się kilkanaście wydań.

Krytyka angielska stawiała wysoko liryki Tennysonowskie. Nie ulega wątpliwości, że cacka te są ładne — posiadają atoli pomiędzy innemi tę wadę, że zawierają zbyt dużo refleksyjnego w sobie żywiołu.

Ta refleksyjność przeszkadza poecie w wzniesieniu się w sfery liryki ognistszej, zdolnej rozbudzić zapał w człowieku, porwać go, ze zwykłego zjadacza powszedniego chleba uczynić choć na chwilę istotę, żądną czynów wielkich, poświęceń wielkich, zaparcia się samego siebie dla sprawy wielkiej. Kontemplacyjny charakter talentu Tennysona o takich szczytach ani zamarzyć nie mógł, ale nawet tam, gdzie usiłował pieśnią swoją wlać w czytelnika pewną wesołość, pewną gorętszą chęć życia, usiłowania jego, jak to zaznaczono powszechnie, pozostały próbą tylko. Pomimo tego braku, poezje Tennysona uderzają ostatecznie sympatycznie swoją eligijnością oraz łagodnym kultem przyrody, na którą zmarły liryk patrzał przeważnie wprawdzie okiem pejzażysty, nie umiejąc, jak to czynił Shelley, zatapiać się w wnętrze jej tajemnic, lub jak Byron, lubować się w groźnych i potężnych jej objawach.

W czasie pierwszego powodzenia Tennysona zdarzył się fakt, który nie pozostał bez znamienitego wpływu na jego twórczość. Zmarł mianowicie uniwersytecki przyjaciel jego, syn historyka, Artur Hallam, który miał się niebawem ożenić z siostrą poety. Boleść z powodu tej straty zamknął Tennyson w szeregu elegji — jest ich sto dwadzieścia i dziewięć — odznaczających się smętkiem i zawierających dużo prawdziwego uczucia oraz pięknych obrazów poetyckich. Elegje te, zatytułowane »In Memoriam«, wyszły jednak dopiero w 17 lat po śmierci opłakiwanego przedmiotu i przyczyniły się ostatecznie do nominacji Tennysona na laureata.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługują także późniejsze jego utwory, posiadające coraz to więcej zabarwienia romantycznego, śród których pierwsze zajmują miejsce głośne »Idyle królewskie«, dalej »Maud« i »Aylmers-Field«, a przedewszystkiem opowieść poetycka »Enoch Arden«, znana publiczności naszej z pięknego przekładu Stanisława Koźmiana. Ostatni ten poemat ma zacięcie realistyczne i tworzy z przytoczonym co dopiero »Aylmers-Field«, dalej ze »Snami Morza« i z »The Northern Farmer« pewną całość.

Brak miejsca nie pozwala mi jednak nad utworami tymi zastanawiać się bliżej, jakkolwiek zasługiwałyby na to. — Tennyson próbował sił swoich także i w dramacie, ale bez najmniejszego powodzenia.

Do genjuszów Tennyson nie należał, posiadał jednak niepospolite zdolności; poetą wielkiego pokroju nie był, nie można się jednak zgodzić z wykrzykiem prof. Austina, który odnośnie do Tennysona powiedział: »Cóż robić, pewne czasy nie chcą po prostu wydawać poetów«. Tytułu poety w żadnym razie zmarłemu odmówić nie można.

# W DRODZE.

SZKIC

Zygmunta Niedźwieckiego.

(Dokończenie).

Niekiedy nachylał się ku jej twarzy i zaparłszy oddech, aby jej nim nie zbudzić i nie kalać, pieścił się jej oddechem, brzmiącym jak czarodziejska melodja dalekiej pieśni rusałek i muskającym go na kształt niewidzialnego pocałunku, którym jej dusza, jej myśl, wyszedłszy na chwilę z jej ciała, oblewa mu twarz i czoło. Odurzał się wtedy zapachem jej, który chłonął niby woń kwiatów i zapachem jej perfum, który jest jakby zapach jej ciała. Wówczas też zdawało mu się, że ustami, zawieszonemi tuż nad jego skronią, dotyka prawie jej lic, że czuje ich miękkość delikatną, i że go łechce jedwab jej włosów ciemno-blond, koloru orzechowego drzewa. Potem cofał się i myślał przez chwilę o zakosztowanej rozkoszy, aby jej niebawem znowu użyć...

Nie czuł wcale potrzeby snu, był w nastroju dziwnej lekkości myśli i ciała. Żadnego znużenia, był tylko rozmarzony trochę.

Zaczął sobie przypominać wszystkie chwile, w jakich ją dotąd widział, wszystkie jej ruchy, minki, spojrzenia, suknie, zacząwszy od owego wieczora, kiedy po raz pierwszy spojrzenie jej, spojrzenie aktorki w tłum, rzucone ze sceny na

gromadny podbój mężczyzn, jakby rozsnuło między jego sercem a nią tkankę, splecioną z tego promienia jej oczu, i z westchnień, które po tym promieniu posyłał w jej stronę.

Zakochał się w niej, zakochał w jednej chwili, jak młody, ośmnastoletni chłopiec, który domyśla się, co to jest miłość, który już marzył o niej, lecz jej nie zna. Zaniedbując naukę, kolegów, rodzinę, co wieczór biegł do teatru patrzeć na nią, słuchać jej i czekać na jej spojrzenie, które, zdawało mu się, że odbiera zawsze, jedno chociażby.

Potem, kiedy aktorzy wyjeżdżali, po stoczonej ze sobą walce, uciekł z domu i pojechał z nimi, nie mogąc przenieść myśli, że ją traci. Nic jej nie wyznawał, nawet w swych oczach, gdy na niego patrzyła, nie śmiał jej niczem dać poznać rozkoszy, jaką go jej widok przejmuje, i zupełnego poddania się jej władzy. Ukrywanie swych uczuć było dla niego szczęściem, które oprócz tego tyle, tyle innych zawierało słodyczy. Jej ukłon, słowo każde, podanie ręki, możność wyświadczania jej drobnych usług jak przysunięcie krzesła lub pomoc przy zdejmowaniu zarzutki, przepełniały go rozkoszą i dumą, które zamieniały go w zazdrość i smutek, jeźli go kto inny ubiedz w tem zdołał.

Posiadał cały szereg wspomnień, w których zdawało mu się, że osiągnął szczyt szczęścia, że ta, którą ubóstwiał, oddawała się w jego ręce.

Raz wypił trochę wody, pozostawionej przez nią w szklance, myśląc z upojeniem o tej kropli, która jak klejnot stoczyła się z jej ust, kiedy odejmowała od nich naczynie. Pił tę wodę jak nektar najsłodszy. Kiedyindziej kazała mu sobie przypiąć odprutą koronkę na ramieniu, na samym brzegu wyciętej sukni, tuż nad aksamitną okrągłością plec, wydających się przy wieczornem oświetleniu tak cudnie, a pewnego razu znów, nie mogąc zapiąć stanika, kazała mu się ścisnąć w pasie. Omdlewał dziś na wspomnienie tych rozkoszy, które go wówczas w struchlenie wprawiały.

Przypominał sobie szczegóły spektakli, próby, spacery, ze wszystkiego czyniąc w swej wyobraźni jedynie tło dla niej, dla jej postaci. Przechodził z drobiazgowością młodej pamięci, która nietylko odtwarza zdarzenia i obrazy, ale i uczucia, jakie one niegdyś wywoływały, całą czarowną historję tych dwóch miesięcy wiosny, w ciągu których poił się szczęściem koleżeńskiego z nią stosunku.

Noc letnia dosięgała kresu. Wczesne świtanie letniego brzasku dokonywało tego cudu, przez który bezmiar świata odmienia się w oczach z czarnej pustki w czarodziejski obraz kwitnącej ziemi pod błękitnym kloszem niebios.

Nowiński nie zmrużył oka ani na chwilę. Śnił z otwartemi oczyma, budzącemi się z marzącej pogoni za widziadłami duszy na widok rzeczywistości, którą dzień odkrywał, zdawał się stwarzać dokoła.

Patrzył, dostrzegał przedmioty, lecz nie mógł ich rozróżnić w szarej pomroce świtania.

Naraz o mało że nie krzyknął z zachwytu na widok przecudnego pejzażu górskiego, który roztaczał się coraz wyraźniej i jaśniej przed jego oczyma, jeszcze szary, mglisty, jeszcze podobny do widziadła, ale już zrozumiały.

Dwie góry, dwa olbrzymie garby ziemi, pokryte iglastą rzeszą lasów szpilkowych, wznosiły się z obu stron drogi, która jak wąskie, białe pasemko wiła się, ściśnięta ich podnóżem, zda się zagrożona zgnieceniem, jeżeli się zechcą poruszyć te potwory. Mgły otaczały jeszcze szczyty gór, ale za nocą, jak szare duchy za duchami czarnemi, znikały i one niepojętym sposobem bez śladu gasnąc, rozpływając się w oczach. Wkraczające zwolna, niewiadomą jeszcze drogą światło dnia, który zlekka rozjaśniał niebo od wschodu, zapełniał świat coraz nowemi przedmiotami. Widma nabierały ciała, określonych form, dalekie mgły zamieniały się w zębate zręby gór, z których dwie najbliższe, ciężkie, olbrzymie, ciemnozielone masy sterczały ku szaroniebieskawemu sklepieniu tępemi szczytami.

Cisza jeszcze była. Drzewa zdawały się zmorzone zimnem i śpiące. Tu i owdzie zakwiliło coś podobnego do szczebiotu zbudzonej ptaszyny, napół niewyraźnie, ledwie dosłyszalnie. Potem głośniej odzywał się świergot, jeden krótki, słaby jakgdyby w okolicy gnieździło się jedno tylko ptaszę. Nareszcie przefruwać zaczęły nisko nad ziemią szare plamki z furkotem skrzydeł, bijących w powietrze, i głosów, coraz śmielszych, przybywało, nawoływały się, łączyły, tworząc prześliczną muzykę przebudzenia ptaków, po cichem, milczącem, przebudzeniu drzew, które przemawiało tylko do oczu.

Zachód jaśniał!... jaśniał.

Z mętnie rudego, stawał się różowym jak kwiat, mienił się bladym fioletem i rzucał na zawieszone wyżej, od puchu lżejsze obłoki, odblask łagodnej purpury. Potem różowa barwa nieba w tem miejscu zamieniła się w różowy blask, w którym do jaśniejącego żaru mięszało się coraz więcej złota.

Naraz ukazał się z poza strzępiastych świerków jak szczery płomień gorejący brzeżek złoto-pomarańczowej, ognistej, krągłej tarczy, która wznosiła się wyżej i wyżej, jaśniejąc blaskiem coraz świetniejszym, coraz bielsza, coraz bardziej rażąca oczy, a po świecie rozlewała się łagodna jeszcze jasność dnia, przenikająca bezmiar radością i ciepłem, i zapalająca iskierki w drobnych kropelkach rosy, które zaświeciwszy, gasły, znikały, jakby spłonęły.

Wędrowcy zaczęli się budzić w obu wozach, toczących się noga za nogą pod górę siłą całonocnej pracy szkap.

Podnosili się, prostowali, wyciągali ramiona i ziewając przecierali oczy.

— Ach! co za cudna okolica!... — wołano. To wróżba szczęścia!...

I wielkie, radośne zdumienie ogarniało wszystkich, gdy się ujrzeli w tym czarownym wąwozie u stóp dwu stoków, rozwartym na mil kilka, zaludnionym drzewami, owianym świeżością rannego powietrza i uśmiechniętym w pogodzie cudnego dnia, coraz jaśniejszego i cieplejszego.

— Panie Nowiński! czy pan widzisz? — zawołała Dolewska.

Półnieprzytomny, patrzący innemi oczyma po nocy bezsennej na ten przedziwny krajobraz, który ich wypoczęte oczy ogarniały jak rzeczywistość, który jemu wydawał się tem więcej snem, im bardziej światłość dnia raziła jego wzrok.

— Widzę — odpowiedział na jej pytanie, patrząc i na nią, na jej różową twarz i oczy, większego niż kiedykolwiek blasku, świeżo po przebudzeniu, jak na sen, jak na fantasmagorję, przypominającą znajomą rzeczywistość.

W tem spostrzegła jego rękę, którą od północy, od tylu godzin, podpierał jej głowę.

— Ależ pan wcale nie spałeś!... Jak pan wyglądasz!...

— Było mi tak dobrze... — szepnął bez zwykłego rumieńca, tak był odurzony.

Wpatrzyła się w niego żywo, z lekkim uśmiechem kobiety zadowolonej uwielbieniem, jakiem jest otaczana. Potem, odwróciwszy się, wychyliła się w bok z wozu i zawołała podniesionym głosem w kierunku toczącej się przed nimi budki:

— Dyrektorze?!

— A co? — odezwał się głos stłumiony.

— Pomyślałeś chociaż dyrektor o naszem śniadaniu?!...

— Ho! ho!... Od wczoraj! Inaczej nie potrafiłbym oka zmrużyć.

Śmiech ogólny odpowiedział na to wesołe kłamstwo, w którem był cynizm i uprzejmość człowieka, co się smacznie wyspał.

— Czy widzicie wy tę karczemkę? — odezwał się znowu głos dyrektora.

— Widzimy! widzimy! — odparł radośny dwór i wszyscy posłali powitalne spojrzenia w kierunku czarnego dachu karczmy, mówiące: Pozdrawiamy cię! A przygotuj się na przyjęcie dwunastu czczych żołądków.

W kilka minut wozy, jak opuszczone gniazda, pełne zmierzwionej słomy, stały przed dwoma stopniami wchodowych drzwi karczmy, a zgłodniali aktorzy rozpytywali karczmarkę o zapasy prowiantów, zaglądając równocześnie na półki i do szaf. Dysponowano jajecznicę, herbatę, wódkę, chleb, ser, masło. Dolewska, pieszcząca się przed lusterkiem z zadowoleniem młodej i ładnej kobiety ranną świeżością swej twarzy, pierwej niż inni zażądała dla siebie do alkowy wody i mydła, a równocześnie opowiadała ze śmiechem:

— Wyobraźcie sobie, ten dzieciak Nowiński wcale nie spał, tylko podtrzymywał jakiś pakunek, na którym miałam spartą głowę. Czy on nie szaleje, ten malec!

Sycenie głodu, zaprzątające wszystkich, pozbawiło efektu opowiadanie kokietki, chełpiącej się ciągłymi tryumfami.

Ale dyrektor pochwycił je.

Obejrzał się za Nowińskim. Nie było go w szynkownej izbie. Żując chleb i kiełbasę, które trzymał w obu rękach, wyszedł do sieni. Nowiński siedział na wysokim progu, zgarbiony, ze zwieszoną głową, z twarzą wybladłą i spał.

Wstrząsnął go za ramię.

— Nowiński! warjacie! wstawaj!

Z nagłem westchnieniem zerwał się chłopak, szeroko otwierając oczy.

Dyrektor, nie przestając jeść, pociągnął go w głąb sieni, gdzie przeświecała szpara rozwartych drzwi.

— Chodź.

Na progu stanął i obejrzał się.

Ludzi nie było widać. Po za karczmą wznosiły się cztery pale, wysoko uwieńczone daszkiem, na dole było siana na wysokość człowieka. Oglądając się nieznacznie poprowadził zaspanego chłopca w tę stronę.

— Jakże to można nie spać przez całą noc, warjacie jeden. To niezdrowo. Patrzaj, tu masz doskonale, pomogę ci, wydrap się...

— Na co?

— Musisz się przespać. My tu popasamy, a dwie godziny snu cię pokrzepią.

— Kiedy mnie się nie chce spać...

— No, no, właź.. Chrapniesz, jak tylko będziesz na górze.

Przymuszony wlazł.

— Przyjdę cię zbudzić — rzekł dyrektor i odszedł.

Z progu karczmy obejrzał się, czy go nie widać. Zaledwie trochę można było dostrzedz ciemny rąbek surduta. Ciężar zagłębił go w sianie.

Tłumiąc gwałtowną ochotę do śmiechu, powrócił dyrektor do tamtych, wołając, aby się spieszyli, bo czas w drogę. Wszyscy zdwoili wielkość kęsków, kobiety większemi haustami kończyły mleko. On sam jadł najłapczywiej, wśród czego, co chwila, mimo zapchanych ust parskał takim serdecznym śmiechem, że go zdziwieni pytali o powód.

— Nic, nic, spieszcie się — odpowiadał i rzucał żonie dziwne spojrzenie.

* * *

Błogie uczucie wywczasu połączone z uczuciem gorąca zbudziło Nowińskiego.

Otwarł oczy, przeciągnął się i ze zdziwieniem spojrzał nad siebie. Nad głową jego unosił się daszek wsparty na czterech palach, w pobliżu zenitu słońce skwarzyło się, oblewając go upałem.

Zeskoczył żwawo, przypominając sobie, zkąd się tu wziął i pobiegł do karczmy, a nie znalazłszy nikogo z swoich w obu izbach, zapytał karczmarki, żydówki w dziwacznych perkalikach, z głową, z powodu braku włosów, dziwnie małą i obwiązaną szczelnie w żółtą chustkę:

— Gdzie ci państwo?

— Jakie państwo?

— No ci, z któremi przyjechałem...

— To pan z niemi przyjechał?... Oni już dawno odjechali. Jeszcze rano.

Osłupiał. Wybiegł przed dom, wozów nie było, wrócił.

— Jakto!... odjechali?

— Ten pan — mówiła żydówka — ten grubszy, okropnie się spieszył... Wołał na nich: prędko, prędko. Jak tylko zjedli, zaraz wsiedli i pojechali, nie wiem czy popasali wszystkiego kwadrans.

Słuchał w milczeniu, zdumiony, przerabiając wieść w myśli, i z oburzeniem pojął, że go zostawiono umyślnie, że go porzucono. Potem wpatrzył się w okno i myślał przerażony, co teraz pocznie.

— A dokąd pojechali? — zapytał po chwili.

— Ja nie wiem, ztąd jedna droga idzie. Jedna przychodzi i jedna idzie dalej.

— Dokąd ta droga prowadzi?

— Ona się potem rozdziela kilka razy... Można jechać w dziesięć stron.

Spuścił oczy w ziemię i znów myślał. Opuszczono go, to było niewątpliwe. Ale ona... ona przecież o tem chyba nie wiedziała?

— Daleko stąd najbliższe miasteczko?

— Do miasteczka trzy mile, a do wsi...

— Do widzenia...

Wybiegł. Miał przed sobą daleką drogę. Oni jechali, on szedł. Nim ich doścignie...

Ale ona o tem nie mogła wiedzieć, nie, stanowczo musiano to zrobić bez jej wiedzy.

# Przegląd pism.

*»Wisła«. Miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom VIII. Zeszyt IV. październik, listopad i grudzień. Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. Mianowskiego. — Warszawa 1893.*

W artykule, znajdującym się na czele ostatniego zeszytu tomu VII. »Wisły« p. Jan Witort mówi o t. z. podarku porannym (Morgengabe) czyli o podarku, który mąż robi żonie nazajutrz po ślubie. Zwyczaj ten, ujęty w formy prawne był niegdyś szeroko rozpowszechniony wśród plemion germańskich, długo też istniało mniemanie, jakoby stanowił on ich wyłączną właściwość. »Morgengabe«, to akt kupna-sprzedaży, którym nabywa się nie samą kobietę, ale tylko prawo zawierania z nią stosunków miłosnych. Kobieta jako objekt prawa cywilnego, kupuje się od rodu lub od rodziny, do których należy, prawo zaś na stosunki miłosne, może być nabyte jedynie od niej samej. Dla tego »kałym« płaci się rodowi lub rodzinie żony, gdy »podarek poranny« stanowi jej własność wyłączną. Ród czy rodzina otrzymuje odszkodowanie za każdą kobietę, należącą do niego, tak samo za dziewczynę, jak i za wdowę, wówczas gdy podarek poranny może otrzymać tylko dziewczyna. P. Witort udowadnia rozpowszechnienie się tego zwyczaju nie tylko u plemion germańskich, ale również i u innych: u Celtów, Słowian, Litwinów, Indusów i opowiada o dalszych jego dziejach. Obecnie instytucja ta zachowała się tylko w Niemczech w prawie familijnem rodzin panujących czyli w t. z. »Privatfürstenrecht«.

P. Wacław Nałkowski podaje sumienny przegląd postępów nauki geograficznej w r. 1892, opatrując go w obszerną bibljografję przedmiotu. P. Nałkowski daje sprawozdanie nietylko z dzieł dotyczących geografji fizycznej i matematycznej, ale również z prac antropogeograficznych, między innymi znajomi nas z teorją pochodzenia człowieka E. Haeckela, na podstawie nowego opracowania jego dzieła »Antropogenie oder Entwickelungsgeschichte des Menschen«; mówi o gęstości »zaludnienia« oceanu według statystyki Boysena, o stosunkach osiedlenia w zależności od warunków geograficznych i t. d.

W zeszycie niniejszym znajduje się dokończenie obszernego studjum folklorystycznego p. Wł. Bugiela, w którem został zgromadzony olbrzymi materjał wątków pieśniowych i podaniowych dotyczących tematu, spożytkowanego przez J. Słowackiego w »Balladynie«. Trzeba przyznać, że główną zasługą autora jest właśnie zgromadzenie materjału, gdyż co do wywodów, to nie grzeszą one wcale zbytkiem naukowości. Widocznie ogrom materjału popchnął p. Bugiela na ślizki grunt dociekań filozoficznych o niezmiernej starożytności danego tematu, o metampsychozie roślinnej i tym podobnych rzeczach, które bardzo mało mają wspólnego z wątkiem podania o cudownej piszczałce.

Zaciekawienie się obrzędami weselnemi i ludu, które zwłaszcza w ostatnich czasach wzrosło znacznie, odbiło się i w niniejszym zeszycie »Wisły«. Znajdujemy tu trzy prace, poświęcone obrzędom weselnym. Pierwszą z nich jest »Opis obrzędów weselnych ze wsi Nadrybie w powiecie Chełmskim, gub. Lubelskiej«, sporządzony przez p. Janinę Bogdanowiczównę; drugą »Zwyczaje weselne w Białej Błotnej, w powiecie Włoszczowskim« opisane przez p. Konstantego Rayskiego, a trzecią dokończenie pracy A. Juszkiewicza »Wesele Litwinów Wielońskich«.

W artykule »Wochy i Koziary« ks. Adolf Pleszczyński zapoznaje nas z pewnemi grupami wiosek, istniejących w okolicach Siedlec i Łukowu, a rażąco wyodrębniających się z pośród swego otoczenia.

Obszerne jak zwykle działy poszukiwań, sprawozdań i bibljografji zamykają zeszyt niniejszy.

*L. Wasilewski.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.